

# Peter Sloterdijk

---

## Posłańcy przemocy : o metafizyce kina akcji

---

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 6 (78), 137-149

---

2002

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

# Prezentacje

## Peter SLOTERDIJK

Postańcy przemocy.

○ metafizyce kina akcji<sup>1</sup>

Ludzi podzielić można na poszukujących przemocy i uciekających przed przemocą. Uciekających przed przemocą podzielić można z kolei na takich, którzy idą z czasem: współczesnych, i takich, którzy przed czasem uciekają. Być może są gdzieś tacy, którym udaje się uciec zarówno przed przemocą, jak i przed czasem – ale na pewno nie tutaj; możliwe, że zaszyli się na jakimś pustkowiu, pielęgnując w sobie nadzieję, że z miejsca ich ukrycia emanuje coś zbawiennego dla reszty świata.

Kiedy ucieczka przed czasem się nie udaje, część uciekinierów przegradza się we współczesnych szczególnego rodzaju: intelektualistów. Współcześni z gatunku intelektualistów to jednostki, które – mając za sobą szereg nieudanych prób ucieczki przed czasem i rzeczywistością – zaczynają publicznie rozważać, co to znaczy przynależność do świata, i własnym ciężarem przyczyniać się do wzrostu jego brzemienia.

„I ja byłem w Arkadii, ale właśnie z niej wróciłem” – tak brzmieć może hasło powracających lub zmuszonych do powrotu uciekinierów. Ten, kto wracając z wymagowanego albo prawdziwego Skądinąd, wpada w powszechny tygiel rzeczywistości, zauważy natychmiast, że przyszło mu w nim pełnić rolę świadka i konsumenta nieprzerwanej agitacji za przemocą i informacji o przemocy. Innymi słowy, przekonuje się on, że przyczyny, które skłoniły go do ucieczki, nie wygasły, wygasła natomiast wiara w możliwość ich uniknięcia.

Powracamy więc ze Skądinąd, z bezpiecznej kryjówki, z wakacji – i co widzimy? Przede wszystkim to, że uciekający przed przemocą współcześni oblegani są przez grupy poszukiwaczy przemocy, złożone ze sprawców i informantów zagrażających coraz skuteczniej drogę ucieczki w rejony wolne od przemocy.

---

<sup>1/</sup> Przedruk z: P. Sloterdijk *Medien-Zeit. Drei gegenwartsdiagnostische Versuche*, Cantz-Verlag, wyd. 2, Stuttgart 1994.

## Prezentacje

Informacja o przemocy posługuje się na ogół schematem blamażu lub kontrastu – my tutaj oddajemy się naszym normalnym (a raczej pseudonormalnym) zajęciom, podczas gdy w nowojorskich garażach wybuchają bomby, w Bombaju pożary ogarniają całe dzielnice miasta, serbscy żołnierze pacyfikują wsie, triumfalnie wyszukując pojmane kobiety, które wydane zostają następnie na pastwę gwałtów, a w tym samym czasie rzucane w Niemczech koktajle Mołotowa podpalają domy i ludzi, wszędzie zaś na Zachodzie dzieci przeżywają ekstazę grając w gry komputerowe, pokazujące eksterminację.

Przekonajmy się, czy nie zyskamy czegoś – gdy spróbujemy mówić o tych sprawach inaczej niż to ma w zwyczaju psycholog albo politolog, który z założenia już je rozumie – jeśli przyjmiemy perspektywę kogoś, komu nie powiodła się ucieczka przed przemocą i kto zrazu nie posiada żadnej teorii, a tylko dzieli z innymi uczucie niepokoję.

Aby mówić o przemocy – czy raczej mówić ze sfery przemocy – unikając jej złudnego obiektywizowania, należy, jak się wydaje, od początku rozbić iluzję dystansu, który oddziela nas od przemocy i umiejscawia poza jej granicami, w krainie pokoju. Zamiast tego proponuję tu ćwiczenia w myśleniu sferycznym – przy czym „sfera”, zgodnie z greckim sensem tego słowa, powinna być rozumiana jako kula. Rozpocznijmy nasz temat od medytacji kuli. Namysł nad przemocą zacząć mógłby się od przypomnienia owej hiper-kuli, która bez dalszych wyjaśnień nazywana będzie tutaj „byciem”. Być (*Dasein*) znaczy – zawsze przebywać w pewnej sferze albo być otoczonym przez pewną sferę.

Teza moja brzmi, że to, co na ogół bezrefleksyjnie (lub mając na uwadze jednostkowe zdarzenia) nazywamy „przemocą”, podług swej natury czy raczej formy rozprzestrzeniania się posiada kształt sferyczny. Jeśli „to” „jest”, ma sposób bycia-wszędzie; powiedzieć też można: w elementarnym lub medialnym rozproszeniu. Nie możemy zatem stanąć przed obejmującą nas sferą tak, jak stajemy przed obrazem – wbrew temu, co napisał Lukrecjusz:

Miło w czas burzy morskiej, gdy życia sam nie narażasz  
Patrzeć z brzegu na trudy wichrem gnanego żeglarza  
Nie stąd, że cudza męka radość ci może przynieść  
Lecz że przykrości widzisz, które gdy zechcesz – ominiesz  
Miło też walkę mężów oglądać w wielkich bojach  
Gdy z daleka bezpieczna całość i wolność twoja.<sup>2</sup>

W naszej sferycznej koncepcji przemocy Lukrecjańskie bycie-widzem również przynależą do kręgu przemocy; ponieważ ów teatr przemocy oznacza lokalną projekcję, a sfera przemocy nie posiada zewnątrz. Nawet ktoś, kto przygląda się aktom przemocy – jakby to były odgrywane sceny z miejsca, które zajmuje w owej sferze – nadal pozostaje zamknięty w jej granicach. Gdybyśmy chcieli tę relację zapisać w postaci formuły, to musielibyśmy ująć to tak: bycie-w-świecie oznacza by-

---

<sup>2/</sup> Titus Lukretius Carus *O naturze wszechrzeczy*, tłum. E. Szymański, Warszawa 1957.

## Sloterdijk Postaćcy przemocy...

cie-w-przemocy, przy czym to ostatnie zawiera wszelkie poszczególne przypadki, takie jak: podleganie przemocy ze strony porywaczy, banków, zazdrosnego partnera czy czegokolwiek innego, co może nas osaczyć, włączając w to rękę Boga, w której uścisku, jak słyszymy, niektórzy czują się bezpieczniej niż ukryci w najbardziej szczerzym naczyniu.

Raz jeszcze postaramy się przyjrzeć tej mogącej wywołać panikę formule i – jeśli to możliwe – przyjrzeć się spokojnie („bycie-w-świecie oznacza bycie-w-przemocy”), ocenić zasięg rażenia owej tezy, która, jakkolwiek ekscentryczna czy wręcz przeszarżowana, jest przecież, jak próbowałem pokazać, w szczególny sposób trafna. Przeszarżowany teoremat uzupełnić pragnę przeszarżowaną historią, aby tym sposobem wzbudzić następnie potrzebę niejakiemu luzu przy rozważaniach mniej ekstremalnych.

Czytelnicy eposu Jamesa Clavella pt. *Shogun* przypomną sobie koszmarne epizod z początku powieści. Krótko po wylądowaniu statku kapitana Blackhorna na japońskim wybrzeżu, spośród jedenastu marynarzy wylosowano jednego, który jako przedstawiciel grupy poddany miał zostać torturom, a następnie zgładzony. Los padł na niejakiemu Vincka, potem doszło jednak do szarpaniny z oprawcami i w rezultacie od grupy rozbitków odłączony został marynarz Pieterzoon i to on został poddany piekielnemu eksperymentowi. Czekać go długotrwałe umieranie – mroczna przygrywka do historii europejsko-japońskich kontaktów. O zachodzie słońca wrzucono Pieterzoon do olbrzymiego metalowego kotła używanego przez rybaków do wytapiania tranu z wielorybów. Temperatura w kotle była zrazu umiarkowana, kat miał rozkaz dbać o to, aby proces gotowania trwał odpowiednio długo. Przez całą noc pan Yabu nasłuchiwał dobiegających z oddali krzyków gotowanego na wolnym ogniu marynarza, zanim wysłał na miejsce samuraja o imieniu Omi, oczekując odeń sprawozdania o kondycji człowieka z kotła.

Podmuchy wiatru niosły teraz przejmujące krzyki. „Czy spojrzaleś temu barbarzyńcy w oczy?” – „Tak jest, Yabu-sama”. Omi klęczał za *Daimyo*, oddalony o jakieś dziesięć kroków. Yabu siedział nieruchomo. W świetle księżycy na jego kimonie układały się cienie a rękojeść miecza sterczała na podobieństwo fallusa. „Co zobaczyłeś?” – „Szaleństwo! Istotę szaleństwa. Nigdy przedtem nie widziałem takich oczu. I tak bezgranicznego przerażenia”. Z wolna upadły na ziemię trzy zwiędłe płatki kwiatów. „Wymyśl o tym wiersz!” – Omi zmusił swój umysł do pracy. Następnie, nie do końca zadowolony ze swego dzieła, powiedział:

Jego oczy  
Były otchłanią piekła.  
Nic poza cierpieniem  
mówiącym cierpieniem.

Z oddali dobiegały krzyki; były teraz słabsze, ale z tak znacznego dystansu brzmiały jeszcze przeraźliwiej. – Po chwili Yabu rzekł:

Ten  
Kto pozwoli temu cierpieniu  
Przeniknąć do głębi swojej duszy  
Stanie się z nim jednym  
Niemy

## Prezentacje

Teraz wszystko jest jasne: Pieterzoon trafił na mistyka, który postanowił zabawić się w zjednoczenie z krzyczącym człowiekiem z kotła – naturalnie zjednoczenie to dokonać się miało na poziomie bez porównania głębszym od tego, na którym przebywał gotowany marynarz i medytujący feudal. Jeśli o nas wszakże chodzi, z wielką trudnością dalibyśmy się przekonać, aby w stosunku do marynarza zdobyć się na to, co psychologowie społeczni nazywają: *taking the role of the other* – chyba, że jakoś by nam się udało do tego stopnia złagodzić atmosferę panującą w kotle, abyśmy umieli dopuścić myśl, że to my sami w nim siedzimy.

Jeżeli, jak się niekiedy słyszy, przynależność do gatunku ludzkiego wiąże się z umiejętnością postawienia się na miejscu każdego innego człowieka, to – mając na uwadze przypadek Pieterzooona – przyznać możemy się jedynie do warunkowego człowieczeństwa. Można to nazwać zasadą ograniczonej solidarności. Po pierwsze więc, obniżamy temperaturę wewnątrz kotła do poziomu letniego, tak aby dała się porównać do temperatury Morza Śródziemnego pod koniec lipca. Następnie zwraca naszą uwagę fakt, że ściany kotła w nieprzyjemny sposób ograniczają widoczność. Usuwamy je więc, bądź poszerzamy na tyle, aby nie różniły się od zwykłego horyzontu na równym terenie. Jeśli usuniemy wszystkie oznaki aktualnego zagrożenia życia – nikt nikogo nie będzie gotował ani ograniczał swobody ruchów – każdy bez sprzeciwu zgodzi się znaleźć na miejscu Pieterzooona, choćby sens sceny, w której ma uczestniczyć, zasadzał się na tym, że kiedyś skończy się ona śmiercią; umielibyśmy przecież znaleźć sposoby, aby się tym do czasu nie przejmować.

Chociaż w niejasny sposób jesteśmy kandydatami do śmierci, tym, co nas określa, jest beztróskie zatroskanie; nie pozwalamy, aby strach przed śmiercią zatrzymał nasze miłe chwile. Z innymi jednoczymy się, by tak rzec, w obszarze stanów średnich; wtedy, gdy grozi im tyle złego, co i nam w danej chwili. W czasie naszego pobytu w rozkosznej kotle świata jesteśmy społecznością niespiesznych Pieterzooonów, zajmujących się rozwijaniem konwersacji i robieniem interesów, a w gruncie rzeczy równie sobie nawzajem obojętnych, jak obojętni byli sobie ów marynarz i pan Yabu, dopóki nie skrzyżowały się ich drogi. Krótko mówiąc, jesteśmy obywatelami liberalnej demokracji.

Teraz widać, co miałem na myśli mówiąc wyżej o rozluźnieniu naciąganych twierdzeń. Teza, że bycie-w-świecie zawsze już w gruncie rzeczy jest byciem-w-przemocy, nie powinna być rozumiana w jej radykalnie Pieterzooonicznym znaczeniu. Zależy nam na rozwodnieniu motywu paniki do tego stopnia, abyśmy mogli się poczuć w świecie niczym plażowicz pluskający się w wakacyjnym morzu, w miejscu, z którego wola się do przyjaciółki: „Popatrz, tu jeszcze mogę ustać!”. Wiadomo, że morze niekiedy się zmienia i w innych okolicznościach znajdowanie się w tym samym miejscu mogłoby okazać się fatalne. Jeśli więc pławimy się w nim z rozkoszą, niejako roztapiamy się w morzu i czujemy się w nim jak woda w wodzie, to dlatego, że pluskając się, nie musimy kłopotać się o to, jak się z niego wydostać.

Odnosząc to do owego wymiaru przemocy, w którym jesteśmy zanurzeni i w którym się roztapiamy, powiedzieć należałoby, że określone stopnie zanurzenia sprawiają nam przyjemność – nazwać je można letnimi bądź mieszczkańskimi – pod-

## Sloterdijk Postaćy przemocy...

czas gdy inne, o ile się w nie zagłębimy, przerażają nas i zmuszają do panicznego poszukiwania drogi na zewnątrz.

Pragnę zająć się następującą kwestią: co dzieje się z rozpuszczalną w przemocy istotą ludzką, gdy pragnie ona wydobyć się z owej przerażającej kąpieli. Być może wszystkie historie opowiadają o jednym, o próbie ucieczki przed przemocą (*Vielleicht ist alle Geschichte die Geschichte der Gewaltlösungen*<sup>3/</sup>).

### 2

Gdy mowa o przemocy, ucieczce przed nią lub jej zmniejszeniu, trzeba wspomnieć o człowieku jako o starym biegaczu i miotaczu. Nie ma w tym niczego osobliwego: każdy, kto idzie do kina, może spodziewać się lekcji antropologicznej, a kto lubi kino akcji, staje się *eo ipso* kimś pokrewnym paleoantropologowi, ponieważ *action*, jak spróbuję pokazać, dostarcza nam klucza do rozwiązania problemu brakującego ogniwa między małpą a człowiekiem.

Jako punkt wyjścia niech posłuży nam spostrzeżenie, że dzisiejszą kulturę popularną charakteryzuje porzucanie dramatu na rzecz akcji; miejsce interpersonalnego konfliktu charakterystycznego dla dojrzałych form dramatu zajmuje szeroka gama inter-bestialnych lub inter-machinalnych sekwencji akcji, niemających na pierwszy rzut oka nic wspólnego z ludzkim wymiarem europejskich czy orientalnych tradycji teatralnych i narracyjnych. Zamierzam jednak pokazać, jak dalece także owe sceny akcji posiadają swoisty sens formacyjny – jednak nie pod względem humanizacji, ale *hominizacji*.

Czasy, które akademicka historiografia określa jako prehistoryczne czy przedhistoryczne, w istocie swej były przeciwieństwem tego, co znaleźć można na ich temat w podręcznikach – a mianowicie przeciwieństwem okresu pozbawionego wydarzeń, w którym przez setki tysięcy lat nudne populacje myśliwych i zbieraczy wiodły swój mały żywot, czekając na pojawienie się wojowników, królów i pisarzy zdolnych do wprawienia dziejów w ruch. W rzeczywistości niewyobrażalnie długi okres tak zwanej prehistorii po brzegi wypełnia wydarzenie, którego dramatyzm przekracza wszystkie inne dramaty – a mianowicie pojawienie się pierwotnej hominizacji. Przez milion lat jedno jedyne hiperwydarzenie, tytaniczny wysiłek, którego gwałtowność i napięcie usuwa w cień wszystko, co nadeszło później, może z wyjątkiem rozpalenia nuklearnego ognia. Kto ośmieliłby się zaprzeczyć, że okoliczność ta stanowi wyzwanie dla historiografii? Gdy jednak zagłędziemy do ksiązek poleontologów, odczuwamy na ogół niedosyt. Niemrawe gmeranie specjalistów

---

<sup>3/</sup> Dosłownie: „wszelka historia jest historią rozwiązań siłowych” (czyli, że jest historią uciekania się do przemocy), co nie oddaje jednak wieloznaczności tego sformułowania, płynącej z kontekstu, w którym mowa jest o „roztapieniu się” (*Auflösen*) w przemocy (co sugerowałoby że „wszelka historia jest historią roztapiania się w przemocy”) i „rozpuszczaniu” (*Auflösen*) lub „rozwadnianiu” paniki (co sugerowałoby, że „wszelka historia jest historią rozpuszczania przemocy” – to znaczy uwalniania się od przemocy przez jej rozwodnienie). Staralem się połączyć te sprzeczne sugestie w jednym zdaniu, ryzykując znaczne odejście od dosłowności tłumaczenia – przyp. tłumacza.

## Prezentacje

wśród kości jakichś afrykańskich albo chińskich półgoryli wydaje się nie odpowiadać randze zagadnienia, o ile zgadzamy się, że tak zwana prehistoria dotyczy czegoś zapierającego dech w piersiach: wydarzenia wydarzeń, olśniewającej katastrofy, z której wszyscy się wywodzimy.

W obliczu tego stanu rzeczy wypróbować chciałbym hipotezę głoszącą, że nowoczesny film akcji jest gatunkiem eksperymentalnego prehistorycznego – czy przedhistorycznego – dziejopisarstwa, które za pomocą zaawansowanych technik filmowych stara się wyświetlić archeologiczne tajemnice ludzkości. W kinie akcji do głosu dochodzi jakaś część prawdy o antropogenetycznym wydarzeniu inauguracyjnym, które streścić można jako secesję ludzkiej hordy ze świata dawnej natury.

Przyjrzyjmy się temu dokładniej. Obydwa uniwersalia kina akcji – bieganie i strzelanie – z reguły łączą się w sekwencje, które kinomani nazywają „pościgami”. Z czymś bardzo podobnym mamy do czynienia w ramach prahistorycznego hiperwydarzenia, z którego wywodzi się *homo sapiens* – zwierzę biegające, które w dwóch piątych długości swego ciała składa się z nóg i mogło stać się człowiekiem, ponieważ – ścigane – zdołało ująć z życiem. Aby tego dopiąć, praczłowiek musiał się przerodzić z uciekiniera w kontratakującego – przede wszystkim za sprawą rzucania kamieniami i wymachiwania kijem. Jedność gestu ucieczki, obrotu i ciskania w stronę napastnika jest najstarszym ludzkim algorytmem akcji – jest tym algorytmem, który stanowił napęd hominizacji i umożliwił wytworzenie się specyficznego ludzkiego mikroklimatu grupowego. Ekskluzywna umiejętność biegania i rzucania budowała wokół jej posiadaczy niewidzialny mur, dystans oddzielający ich od pozostałej natury, która nie była już w stanie wymusić na ludziach prostego cielesnego dopasowania się do otoczenia.

Wewnątrz niewidzialnego kręgu ludzkie głowy stawały się osobliwie duże, skóra osobliwie cienka, kobiety osobliwie piękne, seksualność osobliwie nieokresowa, dzieci osobliwie infantylne. Hordy pierwotne gatunku *sapiens* to pływające (czy lepiej – latające) wyspy, na których natura pozwoliła sobie na eksperyment ewolucji w wydaniu luksusowym, ewolucji owocującej „światem”. Ponieważ ludzie jako biegacze, miotacze i szermierze z powodzeniem wymykali się zwierzęcej konkurencji, przekształcić mogli się w gatunek unoszący głowę, patrzący w przestrzeń i drżący od przytomności. Zdolność teoretyczna wykształciła się u ludzi wyjątkowo wcześniej – do pewnego stopnia stało się tak z nadmiaru przytomności, uwalniającego oczy czuwającego zwierzęcia *homo sapiens* i pozwalającego mu na zbyt-końne spojrzenia w bezgłówną przestrzeń. Z tego punktu widzenia zrozumiałe staje się, że trzecim z uniwersaliów kina akcji jest oczekiwanie, przyzajęcie się, zanurzenie się bohatera w ciszy przed atakiem, niedostrzegalne ruchy sprawcy podczas brzemiennego w wydarzenia *interludium*.

Chcę więc powiedzieć, że ktoś, kto to wszystko pokazuje na kinowym ekranie wbrew temu, co myślą różni krytycy kultury, niekoniecznie brutalizuje, albo sprytnie chce zbić kapital na niezawodności prostackich odruchów swoich bliźnich. Przede wszystkim jest prehistorykiem wysyłającym swoje sondy ku przestworzom hominizacji, aby zorientować się w rzeczywistej treści przedhistorycznego procesu

## Sloterdijk Posłańcy przemocy...

kształtowania się człowieczeństwa. Filmy akcji eksplorują niedający nigdy całkiem o sobie zapomnieć obszar konfliktu, w którym zapada rozstrzygnięcie o przetrwaniu (lub nie) hordy pierwotnej.

Skoro, jak powiedzieliśmy wyżej, wszelka historia jest historią uciekania od i uciekania się do przemocy, należałoby teraz dodać: jest ona historią uchodzenia cało z pościgów i historią przechodzenia od ucieczki do kontrataku. Można wręcz mówić o narodzinach człowieka z ducha kontrataku. Na początku było przeciwuderzenie, to znaczy gwałtowna ucieczka przed przemocą; ucieczka, która za pomocą rzutu kamieniem wyznaczała granice przestrzeni.

Człowiek z hordy pierwotnej – zwierzę oddalające się – żyje na wyspie dystansu do otaczającego go świata; wyspie wydzielonej z dawnej przyrody przez integralność ucieczki i kontrataku. Powiedzieć można, że hordy pierwotne podobnie jak wyżej rozwinięte kulturowo następne formacje – plemiona i narody – to jakby społeczne tratwy dryfujące po morzu dawnej przyrody, które później wykazywać zaczęły tendencję do przekształcania pozaczasowego dryfowania w historyczną żeglugę.

Teraz jasne się staje, dlaczego paleo-historia jako całość składać musi się z wariacji na temat rzucania i strzelania. Faktycznie bowiem człowiek taki, jakim sam siebie wymyślił za sprawą przeciwuderzenia, jest zwierzęciem artyleryjskim – miotaczem, strzelcem, rzemieślnikiem dystansu, posługującym się strzałami i ciskającym kamieniami granicznymi. Jeśli weźmiemy pod uwagę, że pierwsze „granice” zostały nie tyle wytyczone czy ustanowione, ale raczej rzucone (by potem trwać w opuszczeniu jako ziemia niczyja pomiędzy rzucającymi) – bardziej przekonująca stanie się dla nas archaiczna sugestywność broni palnej w ogóle, a scen strzelaniny w filmach akcji w szczególności.

Historyzm akcji poucza, że przedstawiciel hordy okazję do działań dystansująco-odgraniczających znajdował zawsze tam, gdzie pra-aktorzy natykali się na siebie nawzajem. Ten, kto błakając się bez celu strzela do kogo popadnie, niekoniecznie jest więc zimnym zabójcą czy samotnym kowbojem. Być może jest po prostu myśliwym uprawiającym politykę zagraniczną swojej hordy – politykę niezwiązaną z określonym terytorium, ale zgodną z zasadą wyobrażonej albo rzeczywistej nienaruszalności uhordowionego *ego*, dryfującego w kotle świata na pokładzie swego relatywnie bezpiecznego nieformalnego rewiru.

Tak więc spojrzenie wstecz na czasy hominizacji w obrębie hordy pierwotnej jest okazją do refleksji o artylerii przed artylerią, rzeczy nieodłącznej od procesu stawania się człowieka. Lepszą nazwą dla *homo sapiens* byłoby właściwie *homo iactans*. Pewien jestem, że gdyby Heidegger obejrzał mógł *Terminatora*, nie określałby człowieka jako bytu, który sam siebie projektuje, ale po prostu jako byt skazany na rzucanie.

Kto mówi zaś o rzucaniu, nie może milczeć o trafianiu. W ten sposób zbliżamy się do tego niepokojącego punktu naszych rozważań, w którym omówić przychodzi nam stosunek strzelców i miotaczy do trafionych obiektów, przy czym, wybiegając naprzód, pozwalam sobie wyrazić przypuszczenie, że chodzić tu może o prototyp tego, co w czasach nowożytnych nazywane będzie relacją między podmiotem



## Prezentacje

a przedmiotem. Pytając o trafianie, zahaczamy po raz pierwszy o motyw Terminatora, ponieważ trafienia o których marzyli zarówno twórcy najdawniejszego folkloru łowieckiego, jak i najnowszych fantazji o automatycznych zabójcach, są właśnie trafieniami terminalnymi, wykańczającymi, trafieniami-zatopieniami stawiającymi kropkę oznaczającą koniec autonomicznego istnienia trafianego obiektu.

Stosunek strzelców do obiektu ich strzału określić można jako szczęśliwy sadyzm. Strzelanie do pewnego obiektu nie oznacza jedynie chęci, aby usunąć go z drogi albo powalić z nóg. „Prawdziwy” strzał rozpoznaje w innym coś, co zajmuje miejsce, w którym nie powinno być nic; dlatego strzał zwieńczony trafieniem „wytworza” prawdziwe „nic” w miejsce dotychczasowego, błędnego „czegoś”. Z tego punktu widzenia wszelkiego rodzaju ostrzał zawiera w sobie ukryty motyw Terminatora. Wszędzie tam, gdzie się na serio strzela, zaprasza się „nic”, aby zajęło miejsce dotychczasowego „czegoś”. Kult trafienia, przenikający wszystkie filmy akcji to nieustanna ceremonia znikania, celebrowana ku czci pierwotnego cudu unicestwienia, który stał się udziałem człowieka z hordy pierwotnej, i z którego również współczesny *sapiens-iactans* nie jest w stanie zrezygnować.

Gdy posłużyłem się wyrażeniem „cud unicestwienia” bez natychmiastowego moralnego zdystansowania się od niego, to nie z zamiarem przygotowania teoretycznego gruntu do jakiejś czarnej mszy, ale po to, aby uwiarygodnić paleoantropologiczny teoremat dotyczący pierwotnego doświadczenia władzy u naszych pobratymców z hordy pierwotnej. W dziejach budowy ludzkiej tożsamości gatunkowej akty unicestwienia są bowiem wcześniejsze niż akty stwarzania; zdolność do niszczenia jest czymś bardziej fundamentalnym od wszelkiej wynalazczości. Terminacja znaczy więcej niż inauguracja. Dlaczego? Odpowiedzi dostarczyć może rozpatrzenie podstawowych aspektów życia hordy pierwotnej.

Oto grupa otoczona niewidzialną błoną dystansu i dryfująca po starym morzu natury – prawdziwie Pieterzooniczna tratwa w groźnej kadzi świata. Temperatura wewnątrz kadzi bywa na ogół letnia, a żywności jest w sam raz dla jej nielicznych pasażerów (dopóki pozostają nieliczni); na zawsze jednak zamknięci są oni w nieprzenikliwej otoczce przemocy i władzy, stawiającej ludzi w dwuznacznej, pierwotnie-pasywnej sytuacji – są w niej zarazem bezpiecznie ukryci, jak i uwięzieni. Na tym tle zrozumiałe staje się znaczenie pierwotnego rzucania i trafiania – jest ono początkiem niezmiernie powolnego i żmudnego procesu przechwytywania władzy, u końca którego możliwe staną się tak trafne twierdzenia, jak to Kartezjańskie, o człowieku jako *maitre et possesseur de la nature*.

Pierwsze trafienia wprawiają ludzi w nieoczekiwany entuzjazm, powodują podskoki i przenikają rewolucyjnym entuzjazmem. Można by wręcz powiedzieć, że za pomocą ego-orgazmów doprowadzają do wyłonienia się podmiotu. Trafienia puszczają w ruch mechanizm generującego „ja” sadyzmu stanowiącego prawdopodobnie przewodni wątek procesu ewolucji psychicznej w ogóle. Chodzi tu o sadyzm, który pozwala pojawić się „ja” w takiej mierze, w jakiej doświadcza ono siebie jako artyleryjskiej władzy nad znikaniem jakiegoś przedmiotu. W ten sposób człowiek wdziera się w przestrzeń techniczno-magiczną. Z natury swej jest ona zrazu prze-

## Sloterdijk Posłańcy przemocy...

strzelenią magii unicestwiającej; przekształcające i stwarzające odmiany magii podążać będą następnie szlakiem wcześniej już, telekausalnie – za pomocą rzucań i strzelania – wytyczonym przez magię negacyjną.

Tym, którzy mają kłopoty z obrazowym przedstawieniem sobie tych spraw, pomóc może wskazanie na aktualne zjawisko występujące w subkulturze sportowej. Kiedy mamy do czynienia z najgwałtowniej manifestowanymi przejawami namiętności, które zaobserwować można wśród istot ludzkich? Pantomimy szczytowania w wykonaniu gwiazd porno są płaską komedią, która nie umywa się nawet do piłkarskich orgazmów wywołanych strzeleniem bramek – wokół tych widowisk ogniskują się wszystkie sprawozdania z wielkich turniejów piłkarskich. Wystarczy uważnie przyjrzeć się gestykulacji triumfujących po strzeleniu gola bohaterów, aby pojąć, że dochodzą do głosu dzikie formy ekstatycznych zaspokojeń, dla których trudno byłoby znaleźć odpowiedniki w całym spektrum gestów ukształtowanych przez cywilizację. Patrząc w odpowiedni sposób, dostrzeżemy w nich wybuchy sakralnej wprost obsceniczności – i to nie tylko u południowców, którzy po udanym strzale mają w zwyczaju padać na trawę i – przeżegnawszy się – zawodzić z wzniesionymi ku górze oczami, dziękując jakimś wyższym potęgom za udzielone im artyleryjskie laski. Oto sobotnie modły nowoczesnej ludzkości, współwycieczne przez miliony widzów przed telewizorami i na stadionie. Są one spontanicznymi modłami wciąż żywej tradycji prehistorycznej, przy których monoteistyczne rytuały niedzielne sprawiają wrażenie czegoś wymuszonego.

Jestem przekonany, że owe męskie orgazmy strzelnicze i kultury trafień to pozostałości pierwotnie-sadystycznych wybuchów radości, towarzyszących pierwszym, zawsze niepewnym zwycięstwom odnoszonym nad naturą przez prehistorycznych myśliwych i miotaczy. Osią dziejów ludzkich umiejętności – w ich głównym, zwycięskim trzonie – jest proces dochodzenia do siebie podmiotu za sprawą triumfu nad trafionym i unicestwionym przedmiotem. Niepokojące okrucieństwo dzieci ma niekiedy podobny charakter. Ku temu biegunowi z zasady cięży pragnąca samej siebie władza. Gorączkowo szuka ona euforii, którą niosą ze sobą pierwsze zwycięstwa odnoszone nad przeważającą na wszystkich pozostałych frontach naturą. Powtarza w ten sposób pierwsze kroki do wydobycia się z kotła natury – balistyczne przymiarki do metafizycznej idei przewyciężenia świata.

Dlatego w pełni umotywowane wydaje się, że w szczytowym, jak do tej pory, osiągnięciu kina akcji, a mianowicie w drugiej części *Terminatora*, robot-zabójca występuje w roli sprzymierzeńca małego Mesjasza – podobnie jak trafnym rozwiązaniem jest to, że dziury, które robot ów wywierca w brzuchach i głowach swoich przeciwników za pomocą ciężkiej broni maszynowej, ukazane są nareszcie *explicite* jako dziury, a to dzięki odpowiedniej animacji komputerowej. Nareszcie bez owijania w bawełnę widać, o co chodzi w terminacji: o zrobienie dziury w tym, co do tej pory było całe, a zarazem wewnętrznie sprzeczne i fałszywe – „żeby przeżyć, trzeba usunąć to, co przeszkadza” (stara mądrość jaskiniowa).

A jeśli świat jako całość wydaje się zakłóceniem? Gdy ziemia przeistacza się w obiekt ostatniej wszechogarniającej kanonady? Zwykli bohaterowie filmów ak-

## Prezentacje

cji kierują się, jak wiemy, zdrową ideą unicestwiającego trafienia. Terminatorzy eschatologiczni kierują się natomiast zbawienną misją unicestwienia globalnych unicestwicieli. Globalne unicestwienie to termin oznaczający możliwe spalenie całego świata w nuklearnym kotle.

Tym, co odróżnia nowy syndrom Terminatora od zwykłego artyleryjskiego nihilizmu, jest metafizyczny naddatek – przekonanie, że kilka odpowiednich trafień wystarczy, aby uratować ludzkość przed zagładą. Kto skutecznie strzela do tych, którzy strzelają do wszystkiego, staje się zbawicielem, którego znakiem zbawienia jest karabin. Jak mogło dojść do tego stopienia się w jedno tekstu Ewangelii z najbrutalniejszą literaturą przemocy? Obawiam się, że nadszedł najwyższy czas, aby spytać Arnolda i Jamesa o ich stosunek do religii.

### 3

Dwie części filmu Jamesa Camerona pt. *Terminator* (z 1984 i 1991 roku) wpisują się, jak widać, w dzieje idei, typów i stereotypów przybliżających współczesności wciąż obecną prehistorię. Podejmują one wyobrażenia rycerskiej potęgi i zestawiają je budując skończony wizerunek. Chciałoby się powiedzieć, że mamy tu do czynienia z najwyższym wcieleniem strzelca, apoteozą człowieka balistycznego.

Można by uznać, że w ten sposób powiedziane zostało już wszystko, co najważniejsze o archetypie strzelca, gdyby nie to, że James i Arnold wpisali w swoje dzieło przesłanie, którego odczytanie przenieść nas musi w sam środek systemu religijnego. *Terminator II* pokazuje bowiem nie tylko strzelca definitywnego, najwyższej klasy *gunmana*, człowieka jak pocisk. O, nie! Arnold, ten szlachetny cyborg, ma do wypełnienia misję w służbie całej ludzkości. Człowiek z misją, łatwo to zauważyć, nie jest jedynie szafarzem pocisków, ale także posłańcem, który na tym świecie realizuje projekt pochodzący nie z tego świata. Jest nie tylko kimś strzelającym, ale również kimś wystrzelonym – kimś, kto przy akompaniamencie grzmotów i błyskawic zmaterializował się na amerykańskim chodniku nieopodal kosza od śmieci. Ławo pojąć bezradność krytyków filmowych w obliczu tego fenomenu – trzeba kompetencji teologa misyjnego, aby zrozumieć, jaką ma rangę i do jakiego gatunku należy ten osobliwy roboto-anioł.

Pozwolę sobie teraz na parę uwag z dziedziny analityki akcji, poczynionych z perspektywy laickiej krytyki misyjnej. Po pierwsze, rzuca się w oczy fakt, że Terminator-Arnold, o ile rzeczywiście miałby jeszcze stanowić figurę z katalogu heroicznej rycerskości, skuteczniej obnaża nie-falliczną naturę tego rodzaju bohaterstwa niż jakikolwiek Rambo czy przed nim Batman. Zamiana człowieka na androida jasno ukazuje nie-falliczny charakter tej powleczonej warstwą mięsa blaszanej maszynierii – taki mężczyzna nie ma w sobie nic, czego nie miałoby automatyczne urządzenie do podlewania trawników. Jego siła rażenia nie przynależy – mówiąc w języku psychoanalizy – do fazy fallicznej, lecz do fazy analnej, jego uzbrojenie nie jest symbolem fallicznym, ale przesuniętym do przodu projektorem analnym, preparującym przeciwnika w celu deponowania.

## Sloterdijk Posłańcy przemocy...

Bez wątpienia pojedynki, z którymi mamy tu do czynienia, to pojedynki między mężczyznami, ale mężczyźni ci znajdują się w męskiej toalecie, dają sygnał do apokalipsy nie na trąbach, lecz na muszlach klozetowych, wydmuchują się ze świata za pomocą wmontowanych w odbyty wyrzutni rozgrzanego powietrza. Dzieciaki, które z entuzjazmem reagują na wielkie strzelaniny niezależnie od tego, czy rozgrywają się one w scenerii opuszczonych hal fabrycznych, czy w międzyplanetarnych przestworzach, wodzi się tu na pokuszenie w pewien godny uwagi sposób – pokazuje im się mianowicie, że bohaterowie o męskiej powierzchowności nie muszą wstydzić się analnych pojedynków. W ten sposób nadchodzi era tele-fekaliów.

I faktycznie, filmowi bohaterowie nie chcą już walczyć i zwyciężać w stylu, który zakwalifikować dalby się jako męski, pragną oni tylko jednego: sfekalizować przedmioty, z którymi mają do czynienia, rozbić je w kurz i pył, aby przejść dalej po ich resztkach. I tak też czynią, zachowując cudowną apatię i doskonałą postawę. Wojownik nawet w opalach pozostaje chłodny jak jubiler, pozbawiony czucia jak kamienny Apollo, sztywny, lakoniczny, skuteczny – niedościgniony pan zwieracza. Z wyglądu przypomina jeszcze historycznego człowieka, ale jego konstrukcja i oprogramowanie wynosi go znacznie ponad kondycję ludzką. „Nigdy więcej człowieka!” – oto maksyma jego postępowania, o ile cyborga można w ogóle charakteryzować z punktu widzenia psychologii. Należałoby go nazwać typem zafiksowanym pre-edypalnie. Charakteryzuje go – tak brzmieć mogłaby diagnoza – analny dualizm, który w odniesieniu do rzeczy uznaje jedynie alternatywę: boskość albo gówno – wszystko to, jak zwykle, wsparte na potężnym syndromie narcystycznym.

Wyprowadzić stąd można jeszcze jeden wniosek. Właśnie dlatego, że typ mężczyzny, występujący w kinie akcji *à la* Arnold i James, uczyniony został z tworzywa pre-edypalnego, nie może on istnieć bez ukrytej w tle figury, która go posyła w świat. Z tego względu terminator jest psychicznym wasalem posyłającego go pana, który wprogramował mu jego misję, czyniąc z niego rodzaj automatycznego jezuitę. Arnold zachowuje się jak synteza Achillesa i Jezusa. Z pierwszego ma montaż, z drugiego – tempo. Od zarania naszej ery wszechświatowe akcje ratownicze mają to do siebie, że przeprowadzane są bezzwłocznie i na najwyższych obrotach: *euthys*, jak pisze ewangelista Marek, czyli natychmiast, zaraz, w tej chwili, z miejsca<sup>4/</sup>, z każdego punktu Galilei w linii prostej do niebiańskiego celu.

To z tego względu *Terminator II* stanowi również cezurę medio-historyczną. Nie dlatego, że medium, którym jest film, wzbogacone tu zostało o jakieś nowe parametry techniczne, ale dlatego, że medium Boga – posłaniec, misjonarz – ukazuje się tu w niespotykanej dotąd postaci agregatu – maszyny angelicznej, podobnej archaniołowi, który zamienił miecz na bardziej współczesny rodzaj uzbrojenia. Arnold to nowoczesny Christoforus, który zbawiciela ludzkości przenosi przez świat jak przez pole bitwy.

---

<sup>4/</sup> W sprawie motywu pośpiechu u Jezusa, por. H.C. Zander *Ecce Jesus. Ein Anschlag gegen den neuen religiösen Kitsch*, Reinbeck bei Hamburg, Rowohlt 1992, s. 27-62.

## Prezentacje

Pora teraz na krótką uwagę o posyłającej, która stoi za posyłającym. Ktoś, kto oglądał *Terminatora II*, może mieć wszelkiego rodzaju wątpliwości. Może nawet nie wiedzieć, czy ciąg wydarzeń filmowych jest rzeczywiście kompletnie absurdalny, czy rządzi nim jednak jakaś logika. Tylko jedno jest zupełnie jasne – film oferuje monumentalne ujęcie stosunków panujących w matriarchalistycznej fabryce snów, którą są Stany Zjednoczone. Jest on dokumentem matczyno-religijnej agitacji, jaka nie od dziś, ale mniej lub bardziej niepostrzeżenie od 1967 roku zalewa zachodnią hemisferę.

Film ten zajmuje się więc czymś, co jest bardzo w czasie, a czego estradową formułę wypracowała na swój użytek supergwiazda Madonna. Zajmuje się mianowicie tworzeniem protestanckiego wizerunku Matki Boskiej. Właściwym bohaterem tej historii nie jest oczywiście ani szlachetny Terminator-Arnold, ani słodki John Connor, desygnowany na zbawcę świata i powstańca walczącego z maszynami. Ze strukturalnego punktu widzenia bohaterką konstrukcji narracyjnej jest matka Johna. To ona zagrożonemu przez wojnę atomową światu podarowała nadzieję wybawienia w postaci swego syna. James Cameron pospołu z Lindą Hamilton stworzyć musiał ni mniej ni więcej tylko *design* Matki Boskiej, która czytała Simone de Beauvoir i Kate Millet.

Ten iście ewangeliczny projekt udaje się autorom filmu zrealizować za pomocą współczesnej trawestacji katolickiego wyobrażenia Matki Boskiej – mlecznej i miłościwej. Pomniejszyli jej biust, zastąpili płonące serce umiejętnościami strzeleckimi, zinterpretowali motyw doloryczny jako przebyłą kurację psychiatryczną i usunęli postać Józefa. Nawet usuwający się w cień mężczyzna u boku nowej Matki Boskiej zakłóciłby chłodny styl amazonicznej perfekcji. I tak, obsada drugiego *Terminatora* kreuje świat cudownej bezmęskości – w samym jego środku znajduje się amazoniczna matrona i pozbawiony ojca chłopiec, peryferie zaludnione są przez cyborgi i przeznaczonych do odstrzału męskich statystów. Środkiem środka jest zaś wypełnione protestanckim ładunkiem matczyno-ono, skupiające w sobie zarówno posłańca, jak i posłanie. O ile w przypadku Jezusa kanonicznych Ewangelii mieliśmy do czynienia z podziałem pracy, zgodnie z którym za cielesne bycie odpowiadała matka, sens zaś pochodził od transcendentnego ojca, o tyle w Apokalipsie (według Camerona) wszystko zawiera się w matce: bycie i sens krzyżują się w macicy amerykańskiej Nowej Kobiety. Więcej. Nie tylko krzyżują się w niej i spotykalają, ale wręcz źródłowo w niej powstają i świecą z niej niczym boska iskra z Pleromy. W ramach tego feminizmu Duch zjednoczył się z Brzuchem po to, aby obwieścić, że nuklearizm jest ostatnim słowem męskiego świata, a wybawienie przyniesie autonomiczna kobiecość za sprawą staro-nowej bio-religii. Dlatego *Terminatora II* odczytywać trzeba jako symptomatyczną informację o procesach zachodzących w imaginariu najdoskonalszego matriarchatu świata Zjednoczonych Stanów-Mlecznych Matki-Ameryki.

Powstrzymam się od odnoszenia wszystkich tych spostrzeżeń do Arnolda osobście i nie będę mówił o jego kulcie Aurelii Schwarzenegger, matki bohatera, która (za sprawą – Bóg wie – czego) zrodziła największego z żyjących Austriaków. Tak

## Sloterdijk Posłańcy przemocy...

czy inaczej przypuszczać można, że zalew obrazów i znaków, który stał się udziałem Zachodu, to pochodna kapitalistycznego matriarchatu nakazującego wszystkim konsumpcję ku chwale „Wielkiej Firmy-Matki”. Być może narastająca fala konsumpcji obrazów przemocy odsłania coś z prawdy o oralnych imperiach nowoczesności, które Ernest Gellner trafnie nazwał „areligijnymi Międzynarodówkami Konsumentów”.

Ostatnie spostrzeżenie dotyczyło będzie zmodernizowanego cyborga, któremu powierzono w filmie rolę zabójcy na zlecenie. Jest on jedyną figurą nadającą Wagnerowskiej kino-operze Camerona niespotykany dotąd i niesamowity, wręcz transcendentny wymiar. Cyborg-zabójca, który powstał na bazie morfoplastycznego systemu z inteligentnej, ciekłej stali – oto wizja ukazująca nową dziedzinę położoną poza rozróżnieniem ducha i materii. Mając na uwadze tę filmową postać, powiedzieć można, że ktoś, kto zna drugiego *Terminatora*, widział tym samym błysk w oku cyklonu dnia dzisiejszego. Nawet dla nas Arnold jest już właściwie figurą historyczną, kuriozum z czasów stoickich awanturników. Przyszłość, bez cienia wątpliwości należy do jego umiającego przybierać zmienne kształty przeciwnika.

Przez cały czas trwania akcji filmu Arnold, uparty jak osioł, wciąż pozostawał sobą, będąc co najwyżej mniej lub bardziej zdemolowanym; stara europejska maszyna jako wariant Arystotelesowskiej substancji, w czasach nowożytnych powtórzonej przez figurę założycielskiego podmiotu. Zupełnie inaczej rzecz ma się z jego sprytnym przeciwnikiem, który grasuje po ekranie niczym żywa maksyma pierwszeństwa funkcji przed strukturą. Od dawna opanował on sztukę stawania się tym wszystkim, co zobaczył, wyposażony został w auto-pojetyczny program formujący, potrafi zreorganizować się po każdym pogromie. Tym, co czyni zeń fenomen, jest umiejętność jednoczenia się ze wszystkim, co pragnie unicestwić. Jest samorefleksyjny jak Heglowski automat i wyzwolony z własnej jaźni jak Budda. Postczłowieczeństwo stało się w jego osobie faktem dokonany. Jest on pierwszą maszyną, która mogłaby być mistyczką. Aby go przeprogramować, trzeba odwołać się do potęgi żywiołów; w ostatniej chwili niezniszczalny zabójca roztapia się w płonącym kotle pieca hutniczego, jedynym miejscu, w którym powieść się jeszcze może przemiana substancjalnego podmiotu w nieupodmiotowiony element. To, do czego nie można strzelać, można już tylko roztopić.

Jest tak, jakbyśmy namacalnie i fizycznie zobaczyć mogli śmierć Empedoklesa sprzed dwóch i pół tysiąca lat, która jak w lustrze odbija się w śmierci Terminatora. Arnold zjednoczył się teraz z Pieterzoonem i machają do nas przyjaźnie ze swej kadi. Spojrzenie człowieka z żelaza w płonącym kotle nie ma już w sobie nic z szaleństwa – wjeżdża on w „śmierć” jak do garażu.

Wizja roztapiania się maszyny ludzkiej w płomieniach pozwala domyślać się, na czym polegać może ostatni akt uciekania od i uciekania się do przemocy. Czy są jeszcze ludzie, którym obce byłoby przecucie, że los tych posłańców przemocy wskazuje nam drogi naszego własnego przyszłego wygaśnięcia?

Przełożył Piotr Graczyk